Prokuratura gotowa jest wykonać kserokopie akt samodzielnie, w cenie po złotówce za stronę. Przy dużych sprawach dostęp do akt może zatem pochłonąć kilka miesięcznych pensji. Realizacja prawa do obrony staje się dla osób uboższych iluzoryczna - pisze adwokat Jacek Dubois.

Dlaczego prokuratura nie pozwala fotografować akt? Dlaczego sąd każe pisać wniosek o wykonanie zdjęć, którego i tak nikt nie rozpoznaje? Dlaczego treści orzeczenia strona nie może poznać przez telefon? Jak to możliwe, że w dobie informatyzacji mamy wciąż rozwiązania jak „za króla Ćwieczka”? - pyta Jacek Dubois.

Jednym z najciekawszych dla petenta miejsc jest siedziba Prokuratury Apelacyjnej w Warszawie przy ul. Ostroroga. Akta są zawsze do dyspozycji. Jest tylko jeden kłopot – do budynku nie można wnieść aparatu fotograficznego, a więc zrobienie fotokopii jest niemożliwe. Urząd, by pomóc, gotów jest wykonać kserokopie samodzielnie, w cenie po złotówce za stronę. Przy dużych sprawach dostęp do akt może zatem pochłonąć kilka miesięcznych pensji. Realizacja prawa do obrony staje się dla osób uboższych iluzoryczna. A może zamiarem prokuratorów było podjęcie działalności gospodarczej dla podreperowania budżetu państwa? Załóżmy jednak, że chcemy zapłacić, a kłócenie się o pieniądze jest małostkowe. Kserokopie są do naszej dyspozycji, musimy za nie zapłacić w kasie. Jest tylko jedna przeszkoda. Przy ul. Ostroroga prokuratura nie prowadzi kasy, tylko wiele kilometrów dalej, przy ul. Trębackiej. Trzeba jechać i wrócić z kwitkiem zapłaty. Ewentualnie możemy zapłacić przelewem, tyle, że ksero zostanie wydane dopiero, gdy pieniądze wpłyną na konto prokuratury. W najlepszym wypadku urzeczywistnienie konstytucyjnego prawa do obrony zajmie cały dzień.

Równie przyjazne są niektóre Biura Obsługi Interesanta w sądach. W dawnych czasach zacofania technologicznego, by zajrzeć do akt, wchodziliśmy do sekretariatu sądu, co zajmowało kilka minut. Dziś mamy ułatwienie. By akta już czekały na pełnomocnika, zamawiamy je internetowo. Trzeba jednak wykonać kilka czynności – wysłać maila z zamówieniem, na miejscu pobrać numerek i odczekać, aż w czytelni zwolni się stolik, oddać teczkę do depozytu. Musimy też napisać wniosek o zgodę na sfotografowanie akt, którego i tak nikt nie rozpoznaje. Celowość tego wniosku jest zagadką godną Sfinksa. Gdybyśmy chcieli odręcznie przepisać treść interesującego nas dokumentu, wniosek były zbędny. Co innego, gdy chcemy uzyskać fotokopie.

W konsekwencji to, co mogliśmy przed laty dostać niemal od ręki, dziś, jeśli mamy szczęście, uda nam się zobaczyć dzień później. Nic nie jest jednak pewne. W praktyce, mimo że otrzymujemy maila zwrotnego informującego o przyjęciu „zamówienia”, nie mamy żadnych gwarancji otrzymania akt do wzglądu. Gdy następnego dnia przybędziemy do BOI może czekać na nas hiobowa wiadomość, że akt nie ma, bo... są gdzie indziej - konkluduje adwokat.

Żródło: "Na wokandzie"